



Połowa prawdy

Z zainteresowaniem przeczytałem artykuł Macieja A. Góreckiego i Natalii Letki *Miś na skalę naszych możliwości – czyli ucieczka nauki polskiej od (rzetelnej) recenzji*, opublikowany w numerze 393 „PAUzy Akademickiej” (z 14 września 2017 r.). Jego tezy o tym, że recenzja powinna być kompletna i rzetelna, a także o tym, że faktycznie negatywna recenzja nie powinna się kończyć pozytywnym wnioskiem, są trudne do zakwestionowania nawet dla człowieka, który nie może powiedzieć o sobie, że – jak autorzy – „napisał setki recenzji, głównie dla czasopism zagranicznych”. Zgadzam się ze zdaniem autorów (proszę, by to docenili!), iż niejedne z recenzji powstających w nauce polskiej nie spełniają sygnalizowanych kryteriów.

Moje wątpliwości powstają jednak już przy pozornie oczywistym postulatcie dobierania recenzentów kompetentnych. Nie jest dla mnie oczywiste, kogo uznać za kompetentnego. W praktyce polskiej humanistyki, która jest moim polem, najczęściej wybiera się naukowca zajmującego się tą samą lub możliwie jak najbliższą tematyką. Taki wykryje wszystkie ewentualne błędy. Jasne, że błędy trzeba eliminować. Szkopuł tylko w tym, że takie recenzje rzadko są ciekawe. Tymczasem recenzja powinna być – moim zdaniem – intelektualnym wkładem dodanym. Cenna jest taka recenzja, którą warto czytać razem z recenzowaną książką. Mądry recenzent nie powinien tylko streszczać pracy i wychwytywać wątpliwych drobiazgów, lecz powinien starać się spojrzeć na zagadnienie z innej strony niż autor, otworzyć nowe perspektywy, wejść z autorem w dyskusję. Chętnie widziałbym, gdyby recenzent był specjalistą na przykład od podobnych spraw w historii innego kraju, czy gdyby był wręcz innej specjalności – bowiem to wtedy rodzą się najciekawsze skojarzenia. Rodzą się oczywiście pod warunkiem, że recenzent jest otwarty i czyta z życzliwością. Niestety, zbyt wiele razy widziałem zaproszonych

specjalistów z innych dziedzin, którzy stawiali sobie za cel wykazanie w przewodzie awansowym, że kandydat nie spełnia kryteriów dyscypliny reprezentowanej przez recenzenta, a zatem on musi być przeciw. Przykro mi to pisać, skoro przez wiele lat starałem się o integrację nauk humanistycznych i społecznych. Popychałem uczniów w tym kierunku, proponowałem recenzentów z „bratnich” nauk. Dziś mam już wątpliwości do własnego nastawienia. Sympatia do interdyscyplinarności nie jest naszą mocną stroną.

Autorzy dyskutowanego artykułu wspominają o urzędowych wymaganiach odnoszących się do recenzji powstających w związku z procedurami awansów naukowych. Tak, widziałem recenzje pisane zgodnie z takimi wymogami – i to nawet przez Kolegów – profesorów, których dorobek cenię. Były w nich wszystkie informacje o kandydacie/kandydatce (no, może brakowało informacji, czy myje uszy :-)). Recenzenci pisali swoje teksty jakby w odpowiedzi na pytania kwestionariusza. Z mojego punktu widzenia brakowało w nich „tylko” wejścia w twórczą dyskusję z dorobkiem ocenianej osoby. Także docenienia – jeżeli było to zasadne – oryginalności kandydata i jego twórczości. W świetle wielu znanych mi recenzji ważne jest trzymanie standardu, a nie oryginalność człowieka i dzieła. Tymczasem – niech mi wolno będzie powiedzieć – nauka posuwa się naprzód dzięki oryginalnym ludziom i dziełom. Tacy rzadko spełniają wszystkie kryteria z urzędowego kwestionariusza. Rzadko też uzyskują od początku wysokie wskaźniki cytowań. (Einstein nie od razu był ceniony!). Oczywiście, część takich oryginałów nigdy do niczego nie dojdzie, okaże się po prostu nie z tego świata. To nie jest jednak dostateczny powód, by nie popierać młodych, zdolnych i oryginalnych. To nadmierna ostrożność jest szkodliwa. Moim zdaniem, warto zaś sobie zadać pytanie, czy dostatecznie popieramy młodych, zdolnych i oryginalnie myślących młodych ludzi.

MARCIN KULA

Akademia Teatralna
im. Aleksandra Zelwerowicza
w Warszawie